

Nr. 21. Częstochowa, dnia 1 listopada 1936 r. Rok VI.

JAN KOCHANOWSKI NAD ZWŁOKAMI URSZULKI

Najsłynniejszy poeta polski żył od roku 1580 do 1584. W młodości był dworzaninem królewskim, potem osiadł w swej rodzinnej posiadłości Czarnolesiu, gdzie pisał swoje przepiękne utwory. Najsłynniejsze z nich to „Treny", w których poeta wypowiedział swój ból po stracie ukochanej swej córeczki Urszulki. Oto jeden z nich:

TREN VIII.

Wielkiej mi uczyniła pustki w domu moim,
Moja droga Orszulo, tem zniknieniem swoim!
Pełno nas, a jakoby nikogo nie było:
Jedną maluczką duszą tak wiele ubyło!
Tyś za wszystki mówiła, za wszystki śpiewała,
Wszystkiś w domu kaciki zawżdy pobiegała;

Nie dopuściłaś nigdy matce się frasować,
Ani ojcu myśleniem zbytniem głowy psować,
To tego, to owego wdzięcznie obłapiając
I onym swym uciesznym śmiechem
zabawiając.
Teraz wszystko umilkło, szczyre pustki
w domu,
Niemasz zabawki, niemasz rośmiać się
nikomu.
Z każdego kąta żałość człowieka ujmuje,
A serce swej pociechy darmo upatruje!

Jan Kochanowski.

WSZYSCY ŚWIĘCI

Dzień pierwszy listopada jest w Kościele katolickim poświęcony uczczeniu Pana Boga, za pośrednictwem Wszystkich Świętych. W dniu tym mamy wszyscy, którzy jeszcze żyjemy na tym świecie, łączyć się ściśle z duszami zbawionemi, oglądającemi już Boga twarzą w twarz. Wielki to dla nas i święty dzień.

Może nie jedno z was, dzieci drogie, nie zastanawiało się jeszcze nigdy nad tem, jakie głębokie znaczenie ma to święto dla nas, ludzi.

Wiecie z katechizmu, że każdy człowiek na to jest stworzony, ażeby kochając, czcząc i słuchając Boga, mógł po śmierci osiągnąć żywot wieczny, czyli zostać świętym. Ale niestety, o tej podstawowej prawdzie naszej wiary tak często zapominamy przypadkowo, ale w ogóle nie chcemy o tem myśleć.

„To tak nudno“, myśli nie jedno z was „wciąż pamiętać o panowaniu nad sobą, o poprawie, o grzechach, o ich skutkach; jak będę starszym, to będę o tem myślał, ale teraz, chcę użyć młodości i życia“!

Bardzo się byli ten, kto tak rozumuje; bo pracować nad wychowaniem własnej duszy trzeba od młodości, tak samo, jak np. trzeba wcześnie zacząć trenować czy to w piłce nożnej ,czy w koszykówce, czy w pływaniu, ażeby móc stawać do zawodów.

Mistrz światowy, z tej lub innej dziedziny sportu, zdobywa sławę ziemską; Święci — zdobywają też sławę, ale wieczną. Święci — to mistrze światowi; oni ćwiczyli swą duszę, wzmacniali wolę, skłaniali ją ku dobremu, rozumu używali do rozpoznania prawdy, serce rozgrzewali najczystszą bożą miłością. Po latach długiej pracy wewnętrznej, po latach ćwiczenia swych sił duchowych osiągnęli mistrzostwo świata. Ale jakie? — Wieczne.

W dniu Wszystkich Świętych czcimy ich jako naszych bohaterów, naszych mistrzów. Oni doszli do celu, wyznaczonego wszystkim ludziom przez Pana Boga, czemużbyśmy i my tam dojść nie mieli? Czy zdobycie tego nieba, w którem oni szczęśliwie dnie pędzą, jest tak bardzo trudnem? Z pewnością nie nad siły nasze, bo by Bóg od nas tego nie żądał.

Niech się tylko serca wasze, dzieci drogie, zapalą gorącem pragnieniem zdobycia nieba. Nie liczcie na długie życie, bo dnia ani godziny nie znacie, kiedy was Bóg na sąd zawoła. Wszak dzieci w waszym wieku też umierają. Zabierzcie się do pracy nad sobą z wiarą w zwycięstwo, prosząc o pomoc wszystkich świętych ,a w szczególności te święte dzieci, które za waszych czasów żyły, umarły i niebo osiągnęły. Niech przykład tych świętych duszyczek pociągnie was, zachęci do pracy, a nadewszystko wyrobi w was to postanowienie, że o „mistrzostwie ducha“ nie zapomnicie i starać się będziecie pokochać całem sercem tą najpiękniejszą pracę — doskonalenie się wewnętrzne. Wtedy w przyszłości i wasze dusze staną przed Bogiem czyste, oglądać będziecie Stwórcę twarzą w twarz, a ludzie zaliczą was do „Wszystkich Świętych“



W dzień Zaduszny

NA CMENTARZU.

Urwis to był nad urwisami ten Antek. Wszyscy się na niego skarżyli, w całej wsi opowiadali o jego dzikich pomysłach. Matki zabraniały dzieciom wdawać się z Antkiem, żeby im krzywdy nie zrobił, żeby czego złego nie nauczył.

A ten urwis nic sobie z niczego nie robił. Bał się tylko swego gospodarza, u którego pasał cielęta i krowy, bo z gospodarzem nie przelewki. Jak się rozgniewa, to i paska nie żałuje i skóry Antkowej nie szczędzi.

Minęło lato, nadeszła złota jesień. Dnie krótsze, ale słoneczne, wesołe. Antek rad wypędza gromadę na ścierniska i ugory. Niewiele tam już pożywienia, ale chociaż weselej na polu, niż w zamknięciu. Najgorszy czas to zimą co to, ani nogą wyruszyć nie można z obejścia, bo i dokąd? Bydło w oborze, a ludzie przy robocie w domu.

— Antek, Antek! — każdy czegoś woła, czegoś od niego potrzebuje. Ani w dzień, ani w nocy nie ma odpoczynku.

Źle wtedy Antkowi na świecie, przykrzy mu się najbardziej, coraz coś spsoci, dokuczy i znowu skargi, bicie — i tak bez końca

Niezadługo Zaduszki.

Wszyscy myślą o grobach i Antek wspomina, jak to parę lat temu dobrze mu było u ojca i matki. Nikt go się nie czepiał, nie skarżył, nie bili go rodzice.

Ojciec wieczorami piękne książki czytywał, matka swoją robotę robiła, a on, szczęśliwy Antek, siedział przy piecu, strugał figurki nożykiem i pięknie je malował. Gdy nadeszło Boże Narodzenie, to w całej wsi nie było takiej szopeczki pięknej, jak stajenka Jezusowa w Antkowej chacie.

Oj, dobre to były czasy! — myśli Antek, a teraz — nie daj Boże! Już chyba długo nie wytrzyma.

— Gospodarzu — powiada któregoś dnia — pójdę jutro na cmentarz, grób rodziców uprzątnę na święta. Roboty teraz niewiele, to wszystko wydążę.

Popatrzył zdziwiony gospodarz. Pierwszy to raz prosił Antek o takie pozwolenie.

— A idź. Dobrze, że ci się przypomniało, że masz ojca i matkę w grobie, boć żyjesz, jakbyś wcale o nich nie pamiętał. A poczciwi byli ludzie, pobożni, dobrze, że nie doczekali takiej zgryzoty z tobą...

Antka złość wzięła, już gotów był odburknąć hardo, ale się powstrzymał. Jak się pokłóci, to mu nie pozwolą iść na cmentarz, a tak mu się bardzo chciało tych porządków na grobie.

Idzie Antek przez wieś, a myśli sobie, jak to tam na cmentarzu ojciec i matka pod zieloną mogiłą, a on tu sam, poniewiera się tylko na świecie.

Przypomniały mu się wczorajsze słowa gospodarza i znowu gniew go bierze. Ale gospodarz sprawiedliwie mówił: rodziców chwalił, a tylko jemu przyganiał...

Prawda to, że zgryzotę mieliby teraz z niego, oj prawda!

Zamyślił się Antek mocno i ani się spostrzegł, jak stanął u wrót cmentarnych.

— Jakiegoś nieboszczyka chowają — szepnął w zadumie — brama naoścież otwarta.

Na cmentarzu słychać śpiew i płacz dzieci. Antek poszedł w tę stronę.

— O, to Józkową matkę chowają. Biedny ten Józiek, taki sierota teraz, jak i ja. Też pójdzie na poniewierkę razem ze Staśką i Zośką.

Rozeszli się ludzie, zostały tylko sieroty na grobie matki. Modlą się serdecznie, a płacz żałosny przerywa słowa modlitwy.

— Matko Najświętsza — szepcze Józiek — wyproś u Pana Jezusa, żebyśmy nie zmarnieli, sieroty.. Matko Najświętsza... — mówi coś dalej, ale znów płacz go chwyta i Antek nie słyszy słów, tylko żałosne szlochanie.

Biedne sieroty! Przykro Antkowi, chciałby im co dobrego powiedzieć, ale jakoś nie śmie, nie wie jak. Ukląkł za niemi i modli się cicho.

Odeszły dzieci do pustego domu. Antek został sam na cmentarzu. Powlókł się do mogiły rodziców. Uprzątnął, obmiótł dokoła, przyniósł gałązek z lasu, pięknie grób przystroił. A ciągle myśli o swojej i Józkowej doli.

— Matko Najświętsza, uproś, żeby i mnie Pan Jezus poratował, żebym nie zmarniał — powtarza słowa Józka, a tak serdecznie, tak gorąco, jak nigdy dotąd.

Nad wieczorem wrócił Antek do domu dziwnie poważny

Nikt na niego nie krzyczał. Wziął się do swojej roboty, starał się jaknajlepiej wszystko odrobić, a przed spaniem długi pacierz odmówił.

Zmienił się Antek. Gospodarz mówił, że dusze rodziców wyprosiły dla niego poprawę.

A NASZA CHATA...

Zachodząc słonko boże
Na pożegnanie, złoży
Swój promyk w złotych skrach,
Na nasz słomiany dach
A nasza chata za to
Pod strzechę swą garbatą
Za swój drewniany próg
Przyjmie ubogich sług.
By po słonka zachodzie
Nie szli gdzieś w dal o głodzie.
By mieli w swoich snach
Nad głową skromny dach.

K. Kacynel

NA ŚWIĘTEGO MARCINA

(na 11 listopada)

Dzieci niecierpliwie oczekiwały dnia św. Marcina. Wyczekiwali śniegu. Stacha dzień w dzień, idąc do szkoły, badała, wiszący przy aptece barometr, Krzych pilnie nasłuchiwał w radjo wiadomości meteorologicznych.

I nic.

W Karpatach śniegi — na zachodzie śnieg, a u nas pogoda bez zmian.

— Za dwa dni św. Marcina — oznajmił Krzyś, wychodząc ze szkoły. — Ciekawym, czy będzie śnieg.

Tego samego dnia przed południem ciężkie szare chmury zasnuły niebo. Szły z zachodu, gromadziły się tuż nad miastem. Wkrótce całe niebo było szare, martwe.

Krzyś, wracając ze szkoły, aż podskakiwał, tak go radowała ta posępna szarość. Będzie śnieg. Tylko patrzeć, jak spadnie.

Zaczął biec, żeby prędzej zanieść wiadomość, o której wszyscy wiedzieli.

Toż będzie zabawa.

c. d. n.